Ner 7. Kraków, dnia 1go Kwietnia 1872. Rok IV.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca — Włościanin kosztuje rocznie Zł. 3 w. a., półrocznie Zł. 1 cent. 50, kwartalnie cent. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie Zł. 4 cent. 60, półrocznie Zł. 2 cent. 30, kwartalnie Zł. 1 centów 15.
(Zagroda wychodzi 8 i 24 każdego miesiąca.)

Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy od wiérsza, z dopłatą 30 centów na stempel. — Listy lub przekazy pocztowe należy przesyłać pod adresem: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.

Święcone.

— No, to już jest przygotowane wszystko, czekać tylko księdza, aby oświęcił ten dar Boży, — ozwała się Pawłowa do męża. Ale, miły Boże, zdałoby się więcej kołaczy, kiełbasy, i mięsiwa, — może się kto trafi — to nie wystarczy na jego poczęsne.

— Ej, bajesz, moja droga, przerwał Paweł, toć jeno nas dwoje i służący. Wystarczy więc wszystkiego, choćbyśmy mieli nawet i kilku gości. Zresztą, czem chata bogata, tem rada będzie. Lepiej, żebyś ty zajęła się porządkiem w chałupie — bo i śmieci wyglądają z pod ławy i szyby w oknach nie bardzo czyste, — a tu księdza jeno patrzeć.

— Widać z ciebie zawsze ślepy Mazur — a toć ja przecie i okna wymyłam, i zamiatałam chałupę — a tyś o niczem nie wiedział i nic nie widział — oj, ty, ty mazurze. Tu westchnęła ciężko Pawłowa, łzy zakręciły się w jej oczach — a twarz się dziwnie zmieniła kobieciny, do niepoznania. Widząc tę nagłą zmianę Paweł, przybiegł do żony niespokojny i żywo zapyta:

— Matko, matko, a co się tobie stało?.... czyżeś, broń Boże chora? czy co? mów żywo!....

— Ni mi się nic nie stało, ni ja chora — ot przypomniał mi się nasz syn Tomasz, i tak mi się smutno zrobiło i żałośnie na sercu. Biedny, gdzie on święta przepędzi..... a może już biedak nie żyje... dziesięć lat, jak odszedł, odkąd go nie ma u nas... Chciała jeszcze coś mówić Pawłowa — kiedy się drzwi otwarły, w których ukazał się organista ze święconą wodą i kropidłem w ręku, a tuż za nim postępował ksiądz proboszcz w białej komży — trzymając w ręku krzyż i książkę do modlitwy.

Z wesołą tedy twarzą Pawłowie ucałowali ręce zacnego proboszcza, który niedługo zaczął czytać modlitwy i błogosławić dom i święcone złożone na stole, przykrytym białym obrusem. Za chwilę ceremonia święcenia, była skończona a ksiądz wychodząc z domu, życzył wesołych świąt Pawłom i dobrego zdrowia, dodając w końcu:

— A pamiętajcie też o Panu Bogu i bądźcie na Rezurekcyi...

Tego właśnie dnia, to jest w Wielką Sobotę, było pięknie na świecie; wietrzyk maleńki powiewał po polu i wioskach mazowieckiej krainy, — bo trzeba wam wiedzieć, że całe to zdarzenie odbywało się na Mazowszu, wielkiej prowincyi polskiej, leżącej ponad rzekami Wisłą i Narwią, co do Wisły wpada. Ziemia tam jest piaszczysta i nie bardzo urodzajna, ale jednak dobrze uprawna przez dzielnych Mazurów. A że Mazury są dzielnym ludem, najlepszym na to dowodem jest przysłowie: „bitny, jak ślepy Mazur,“ które poszło ztąd, że jak się zjawił, który Mazur w bitwie — to szedł w ogień, jak ślepy, nie zważając na kule i pociski nieprzyjaciół. Największem miastem na Mazowszu jest Warszawa, a każdy Mazur tak kocha swoją stolicę i ziemię, że się bez niej obejść nie może, ale tęskni do niej, jak ryba do wody. Szczęśliwi też są owi Mazurzy, że tak kochają swoją ziemię — że gotowi robić wszystko — byle tylko na chwałę swojej ziemi... Kiedy się też zdarzy, że który Mazur zabłąka się wśród obcych — toby rad ptakiem przelecieć w rodzin-

ne strony — uczy się więc, czego się ma uczyć i pracuje, byle prędzej stanął wśród obcych...

W Wielką Sobotę właśnie, jak to już mówiłem, — postępował noga za nogą jakiś obcy człowiek, po drodze wiodącej ze wsi Mąkolice do Bogdanowa. Człowiek ów, mógł mieć najwięcej 30 lat życia; ubrany był porządnie, co jeszcze więcej miłą czyniło jego szlachetną twarz i ujmujące ruchy. Dawno on widać nie bywał w tej okolicy — bo się rozglądał na wszystkie strony, zdawał się być mocno wzruszony, ale czem? — nie wiadomo. Widno tylko było z jego zachowania się, że strona ta nie była mu obcą wcale. Postępując też dalej noga za nogą, zaczął sobie nucić następującą piosnkę:

Czy to wszędzie tak jest smutnie
I ponuro i okrutnie,
Jak we wiosce za górami,
Za wodami, za lasami,

Choć wieś duża u stóp góry,
Kościół sięga krzyżem chmury,
Dzieci bawią się pod chatą,
Wszędzie czysto i bogato...

Choć ludziska całej wioski
Wiodą życie swe bez troski,
To ja błądzę gdzieś oczyma,
Kogoś szukam, co go nie ma,

I jak błędny pokryjomu
Wysuwam się z cicha z domu,
Lecę w stronę gdzie rodzina
Gdzie Mazowsze, ma kraina....

W tem uciął nagle ów nieznajomy piosnkę i po niejakiej chwili tak znowu zanucił:

O! rodzinna ma zagrodo,
Kiedyż cię zobaczę
Także mnie rzuciła młodo
Na życie tułacze....

Jeszcze nie skończył nawet słów ostatnich nowo zaczętej piosenki — gdy z zagórki, porosłej gęsto jałowcem i głogiem, ukazała się wieżyczka mała wiejskiego kościoła, wystawionego z modrzewia. Poznał też nasz nieznajomy ową wieżyczkę, która mu naraz przypomniała tysiące wspomnień z jego młodości. Była to właśnie wieża kościoła w którym on został ochrzczony. Opodal nieco ciągła się wioska Bogdanów, w której żyli jego rodzice, Pawłowie. Naraz też opanowało, nieznajomego człowieka takie szczęście, takie dziwne uczucie owładło jego sercem, że sobie nie umiał nawet zdać sprawy z niego; przyspieszył więc kroku — i podążał ku wiosce — po nad którą dogorywały ostatnie promyki zachodniego słońca. Biegł tedy dalej i żywiej, a dzwony, co zagrały na lipowej dzwonnicy, towarzyszyły swoją pieśnią naszemu nieznajomemu. Był on wtedy szczęśliwy!...

Zagrzmiały organy w kościółku modrzewiowym Bogdanowa, tysiące świateł zapalonych w świątyni dodawało uroku i chwały dla Zmartwychwstałego Chrystusa Pana — podczas kiedy proboszcz parafii zaśpiewał uroczyście u stopni ołtarza:

„Alleluja, Alleluja, Alleluja!“

tysiące piersi powtórzyło jego słowa i z tysiąca piersi zacnego i wiernego ludu popłynęła pieśń do tronu Boga. Gdzie było okiem rzucić, wszędzie było widać twarze wesołe i szczęśliwe, zdawało się człowiekowi, — że widzi przed sobą niebo śpiewające na chwałę Bogu.

Niedługo ozwała się pieśń inna:

„Przez Twoje świete Zmartwychwstanie,
Boży Synu odpuść nam nasze zgrzeszenie i t. d.“

którą znowu tysiące piersi śpiewało.

Trzeba przyznać, że nigdzie nie usłyszycie takich pięknych pieśni, i że nigdzie nie obchodzą uroczyściej świąt Wielkanocnych, jak w naszej kochanej Polsce. To też, gdy człowiek ujrzy się gdzie na obcej ziemi, a nie usłyszy tych cudownych pieśni — to aż mu się serce kraje z żalu. I jak tu nie kochać takiej ziemi, która sama nawet ciągnie do siebie i radaby człowiekowi nieba przychylić?

Kiedy na wszystkich twarzach ludzi, zebranych w kościele, widać było wesołość, jeden tylko człowiek, porządnie ubrany, klęcząc na środku kościoła, modlił się cicho a gorąco, — a od czasu do czasu łza rzęsista toczyła się z jego oczu szlachetnej twarzy. Wszyscy też zwracali uwagę na owego człowieka — bo nie umieli sobie wytłomaczyć przyczyny, która łzy jego sprawiała. Jedni padali na te, drudzy na owe domysły — ale nikt nie odgadł prawdy.

— Co temu człowiekowi, szepła do ucha Pawłowa, klęczącej obok niej Piotrowej, — widać bogaty, a tak mu coś dolega na sercu.

— I ja sobie nie umiem tego wytłómaczyć, odrzecze Piotrowa, — przecież to dzisiaj takie wielkie święto a on się smuci nieborak.

I rozmaicie sobie jeszcze ludzie gadali, — kiedy się msza skończyła.

W izbie u Pawla siedziało kilkoro gości na ławach około stołu zastawionego święconem,

aż miło; — Pawłowa obchodziła wszystkich najprzód jajkiem, później chlebem, kołaczem, kiełbasą i w ogóle wszystkiem, co jeno Bóg dał. Zaczęła się też i gęsta a wesoła rozmowa pomiędzy gośćmi, ktorym Pawłowie od serca byli radzi, wśród której zapyta Szymczyk Pawłowej.

— Nie wiecie sąsiado, co to był za jeden ów człowiek, co tak płakał i modlił się dzisiaj w kościele?

— Coś mi się zdaje, odrzecze Pawłowa, że widziałam gdzieś tego człowieka — ale nie mogę go sobie przypomnieć.

— A jaki on widać dobry, wtrąciła Maciejowa, co mu się tam stać mogło, że był taki płaczący.

W tem się otwarły drzwi chałupy, któremi wszedł ów nieznajomy człowiek, o którym właśnie mówiono, — i pochwaliwszy Pana Boga, zapyta:

— Czy tutaj mieszka Paweł Sikora?

— Tutaj, odpowiedziano — a skądże to Bóg prowadzi?

Na te słowa nic nie odpowiedział nieznajomy, ale stanąwszy na środku izby, popatrzył się w około, westchnął ciężko i w końcu rzecze:

— Cóż to,nie poznajecie mnie drodzy rodzice?

— Jak to, — to wy jesteście Tomasz, nasz syn!!... zawołała Pawłowa.

— Tak, ja jestem waszym synem Tomaszem. Po tych słowach rzucił się do nóg Pawłom i zaczął je całować i oblewać łzami. — Co tam było wtedy szczęścia, co było wesela w chacie Pawłów, aniby człowiek tego nie opisał żadnem piórem!... Oj, doprawdy, że nigdy nie było tyle szczęścia w chacie Sikory, co tego dnia. Bo i jakże się tu było nie cieszyć — niedość, że święto wielkie i uroczyste, — a tu jeszcze przybywa syn porządny i bogaty, o którym już wątpili rodzice.

Tomasz zapoznany z gośćmi, co się bawili u jego rodziców i obdzieliwszy się święconem jajkiem ze wszystkiemi, usiadł na ławie i opowiadał w krótkości: jakie koleje przechodził po wydaleniu się z domu, jak pracował ciężko na kawałek chleba, gdzie bywał, i jak przez pracę przyszedł do sporego grosza, — w końcu dodał:

— Tak, moi kochani, przeszedłem wiele i pracowałem wiele, uzbierawszy więc trochę grosza przez uczciwą pracę, przyszedłem do was, drodzy rodzice, aby wam dopomódz w starości i żeby samemu odpocząć nieco wśród swoich na rodzinnej ziemi. O, bo wierzcie mi, nie ma ziemi pod słońcem, gdzieby mi było tak błogo, jak w naszej kochanej Polsce na naszem drogiem Mazowszu...,

O PIŚMIE I DRUKU

POGĄDANKA NIEDZIELNA.

(Ciąg dalszy).

— Mój miły Macieju! — wtrąciła Katarzyna, wszak do tego trzeba było wielkich pieniędzy; to ten Gutenberg musiał być bogatym?..

— Ale gdzie tam! — rzekł Maciej — chudzina nie miał pieniędzy, dla tego też przybrał sobie na wspólnika bogatego złotnika Jana Fausta i pożyczył od niego pieniędzy. Za to odkrył mu tajemniczą sztukę drukowania. Pieniądze zaś pożyczone obiecał mu oddać, a gdyby nie był w stanie, to mu odstąpi drukarnię na własność. I drukował z nim owemi drewnianemi czcionkami rozmaite książki, lecz, że one w ten sposób drukowane niezgrabnie jeszcze wyglądały, z tego więc powodu oblewali owe czcionki ołowiem lub cyną. — Później zaś robili metalowe czcionki, które były twardsze i łatwiej rozmnażać je było można.

Takiemi czcionkami wydrukowali łacińską biblię. A że połączonemi siłami więcej się zdziała, przyjęli do siebie jeszcze Piotra Szefera. Nowemi czcionkami i lepszem czernidłem, z sadzy i lnianego oleju wyrabianym, drukowane książki lepiej wyglądały i miały dosyć znaczny pokup, zwłaszcza, że o wiele mniej kosztowały niż pisane. Faust z Gutenbergiem sprzedawali je potajemnie, a ludzie nie mogli pojąć, jakim sposobem podołają w tak krótkim czasie dostarczać tak wiele książek? Były to czasy wielkiej jeszcze ciemnoty i niedowiarstwa, owoż posądzono ich o przestawanie ze złymi duchami i zaskarżono obu do sądu. Nastąpiło poszukiwanie. Znaleziono wielką liczbę tych odcisków a mniemanych odpisów w ich pomieszkaniu i zabrano je co do jednego.

Zdesperowani drukowali teraz książki szkolne, listy z odpustami i kalendarze, a że nakład był wielki a przychód mały, Gutenberg oddać nie mógł pożyczonych pieniędzy, Faust za poparciem sądu przywłaszczył sobie całą drukarnię wraz z wszystkimi przyrządami.

Gutenberg porzucił nieszczerych przyjaciół i założył sobie inną drukarnię, w której tylko pomniejsze drukował książki. Aż w 1468 roku zakończył życie w niedostatku, zaledwie wynalazcą druku uznany...

Faust z Szeferem, przybrawszy sobie pomocników, drukowali dalej książki, aż w Moguncyi powstała ruchawka, w skutek której rozbiegła się ich czeladź po Niemczech, Francyi i Polsce i rozniosła dotąd nieznaną sztukę drukarską.

— A to dobrze się stało! — krzyknął Antek wściubski — kiedy dla trzeciego towarzysza tacy byli fałszywi!

— A któż też u nas w Polsce pierwszy drukować zaczął?— zapytał rozciekawiony Grzegórz.

— Oto widzicie—rzekł Maciej—nie długo przybył do naszej ziemi ten i ów, przybył także i niejaki Swiętopełk Fijol, który pierwsze na świecie książki słowiańskie drukował w 1490 i 1491 roku, aż nareszcie doczekał się Kraków prawdziwego księgarza w osobie zamożnego obywatela Jana Hallera.

Z jego to drukarni wyszło pierwsze dzieło w języku polskim pod tytułem: *O przykazaniach i grzechach* 1508 roku; potem wyszło drugie w 1514 roku: *Powieść o papieżu Urbanie.* W 1522 zaś roku wyszło dzieło obszerniejsze św. Bonawentury: *Życie Pana i Boga naszego Jezusa Chrystusa*, tłomaczone przez Baltazara Opecia, mistrza krakowskiego. Dzieło to uważano dotąd za pierwsze, które wyszło z druku po polsku, chociaż odszukano, jak słyszycie, dawniejsze druki. Z początku trochę kiepsko drukowano w Krakowie, lecz później takiej nabyto wprawy, że druk krakowski nie ustępował w niczem zagranicznemu. W 1525 r. było w Krakowie siedmiu księgarzy, a w 1572 roku miał Kraków siedm drukarń, które z najpierwszemi zagranicą stały na równi, a więc prawie tyle, ile ma ich w dzisiejszych czasach. Nawet w obcych krajach drukowano wiele dzieł polskich, a drukarzy Polaków było dosyć w wielu miastach zagranicznych.

Po Krakowie miały niektóre miasta mniejsze swoje drukarnie, następnie zaczęto zakładać je we Lwowie i Warszawie i drukowano w nich najprzód łacińskie, później polskie książki.

— A czy wtenczas, kochany Macieju, tak spiesznie drukowano jak dzisiaj? — zapytał Tomasz.

— Nie tak, moi kochani! — odpowiedział Maciej — bo nie było jeszcze takich pras udoskonalonych jak teraz. Wszystko doskonaliło się stopniowo, owoż i prasy drukarskie uległy wielu ulepszeniom i dokładnościom, dla tego to teraz tak pięknie umieją drukarze odciskać książki. Dzisiaj są w stanie odbić kilkadziesiąt tysięcy arkuszy w kilku godzinach, czego dawniej dokazać nie było można.

— O Boże! a cóż to za dziwne rzeczy! — zawołali słuchacze. — A czegóż to jeszcze nie dokażą ludzie przez swój rozum?...

— A widzicie! — mówił dalej Maciej — tak świat postępuje! Z jednej myśli człowieka tyle powstaje cudów!

Poznajcie tedy, że nie wojny krwawe, ale jeden myślący człowiek przyczynił się do uszlachetnienia i podniesienia ludzkości. Wieki ciemnoty już wrócić nie mogą, bo świat ciągle dąży do światłości, a to się dzieje przez to, że wielkie myśli uczonych ludzi, którzy je przez drukowane książki rozszerzają po świecie, nie marnują, ale między ludźmi pozostają. Czegóż to jeszcze nie doczekają się na świecie nasze dzieci i wnuki? Przez druk powstały niezliczone nauki, które oświecają ludzi i najwymowniej wykazują nam wszechmocność i dobroć Boską.

Dawniej drukowano nieczytelnie, wielkiemi literami, teraz tak się wydoskonalono przy pracy i pilności, że mamy jak najpiękniejsze druki w rozmaitym kształcie i guście. Dzisiaj i najubożsi ludzie mogą czytać książki, bo są bardzo tanie. Pierwej byliby ludzie chętnie czytali, ale nie będąc w stanie nabywać książek, żyli nieoświeceni. Dziś wszystko oparte jest na postępie, który się wzmaga przez naukę i oświatę. Książek dzisiaj bez liku; z nich dowiedzieć się możemy, co i kiedy i jak działo się na ziemi naszej, jacy byli nasi ojcowie, jakie mieli cnoty i przywary, a więc uczmy się i oświecajmy, byśmy w dobrem postąpili i niech nie będzie ani jednej chaty polskiej, w której nieznaleźlibyśmy książki lub gazety. Druk dziś tak już rozpowszechniony, książki tak rozszerzone, że powinny być naszą potrzebą i nieodstępnemi towarzyszkami w doli i niedoli naszej. Ponieważ książki tanie, kupujmy je, uczmy się i nabywajmy rozumu, by powiedziano, że Polacy nie ostatni, i oni w nauce wielki robią postęp. A nigdy tak koniecznie nie przysłuża nam jak dzisiaj: pracą nauka i oświata, przez którą poznamy, że jesteśmy narodem, który ma życie i racyję bytu.

Z książek wypływa pożytek i uciecha...

I na tem zakończył Maciej swoje opowiadanie.

— Bóg wam stokrotnie zapłać! — zawołali wszyscy. — Nie zapominajcie o nas, miły Macieju, przychodźcie tu do Grzegorza i pouczajcie nas, my się licznie zgromadzać będziemy!

— Dziękuje wam serdecznie za wasze przy-

rzeczenie — rzekł Maciej — a teraz zostańcie mi z Bogiem; dobra noc, bo już czas do domu! I wyszedł najsamprzód z chaty, po nim zaś wszyscy słuchacze.

A mnie, wysłuchawszy to opowiadanie, taka zebrała ochota, że sobie wszystko spisałem, a wiedząc, że z tego i inni ludzie mogą odnieść pożytek, ogłaszam to drukiem. A gdy znowu co usłyszę, to znowu napiszę.

Józef z Bochni.

OPOWIADANIE PANA NAUCZYCIELA Waręża.

Ciąg dalszy.

— Było to w niedzielę, zebrani goście pozasiadali gdzie kto mógł w mieszkaniu pana Waręża, który im tak dalej opowiadał o Polanach:

— Owi tedy Polanie, którzy wyznawali religiję pogańską i rządzili swojem krajem najczęściej wspólnie, tj. bez panującego nad nimi króla, przyszli do takiego znaczenia między drugimi Słowianami, że się wszyscy na nich oglądać zaczęli, co mają robić ze sobą. Imie też Polan głośne na całą okolicę rzeki Warty, Noteci, Wisły i po rozmaitych a odległych ziemiach Słowiańskich, stało się początkiem wielkiego państwa, — którem właśnie była Polska, biorąca swoje nazwisko od Polan. Polanie więc stali się założycielami Polski. Mieli oni wielu rycerzów i królów sławnych jak n. p. Leszka, Krakusa, Wandę, Popiela itp. ale największym był Piast kołodziej, co mieszkał nad jeziorem Gopłem w mieście *Kruszwicy*. Od owego bowiem *Piasta*, poszło wielu królów polskich, którzy przez długie lata w Polsce panowali. Jak zaś owi królowie rządzili Polską, i co się wtedy u nas działo, opowiem wam innym razem, a teraz pójdźmy w naszej pogadance do czego innego.

— Proszę ja pana, zapyta Tumala, dla czego ta ziemia, gdzie mieszkali Polanie, nazywa się Wielkopolską a nie Polską?

— I mnie się jakoś nie zdaje takie nazwisko, wtrąci Jacuś, co tak pilnie słuchał opowiadania nauczyciela.

— Wielkopolską dla tego owa ziemia nazwaną została, że była pierwszą prowincyą Polski tj. najpierwszą ziemią gdzieśmy się rozwijali, — dalej dla tego również, że kiedy Polska zaczęła coraz więcej wzrastać, wtedy, za króla Władysława Łokietka, ziemie nowe co przybyły do Polski, nazwano Małopolską a to dla odróżnienia od ziem starych czyli Wielkopolski. Pod nazwą Wielkopolski znane były województwa, które znaczyły tyle, co dzisiejsze obwody, albo okręgi, Poznańskie, Kaliskie, Gnieźnieńskie, Sieradzkie, Łęczyckie i ziemia Kujawska.

— Jakto, zapyta, Organiściak, przecież ja czytałem w jakiejś książce, że miasta Kalisz, Sieradz, Kujawy i Łęczyca z ziemiami, co do nich należą zostają pod panowaniem Moskala, a pan nauczyciel, o nich mówi, kiedy miał opowiadać o ziemiach polskich, nad którémi Prusak panuje.

— Nie, moi kochani, odparł pan Waręż, o tych województwach nie będę teraz opowiadał, nadmieniłem je tutaj dla tego, że one należały do Wielkopolski, z której części powstało dzisiejsze *Wielkie Księstwo Poznańskie.* Tak tedy, Wielkopolska była obszerną i ludną za dawnych czasów, — bo sięgała od brzegów Wisły, Województwa Sandomierskiego i Krakowskiego daleko na zachód ponad Wartę i Notecię aż do rzeki Odry, co wpada do morza Bałtyckiego.

Od czasów rozbioru Polski przez Rosyją, Prusy i Austryą w latach 1772, 1792, 1793 i 1795. Wielkopolska dostała się pod pruskie panowanie pod którem zostawała aż do roku 1814, tj. do kongresu czyli zjazdu wiedeńskiego. Na zjeździe tym we Wiedniu, na który zebrało się wielu królów i panów utworzono W. Księstwo Poznańskie, które się składało z zachodniej Wielkopolski tj. województwa Poznańskiego, Gnieźnieńskiego, części Kujaw zachodnich i województwa Kaliskiego. Utworzone tym sposobem księztwo oddali pod opiekę królów pruskich z tym warunkiem, aby narodowość polska była strzeżona i zachowana, czego Prusy nie dotrzymały, bo rolę od Polaków wykupują i Niemcami osadzają, a Polaków gwałtem chcą przerobić na Niemców, przymuszają ich do zaprowadzenia i uczenia się po szkołach w języku niemieckim.

— Cóżby tu jeszcze opowiadać o Wielkiem Księstwie Poznańskiem, chyba na tem skończyć wypada, — jak wam się też zdaje?

— O, nie, nie, panie nauczycielu, pan tylko tak mówi, aby nas nastraszyć, — a przecież się dowiemy od pana, co się obecnie dzieje na tej ziemi, — dolecialy zewsząd głosy.

— Ha, kiedy tak, odpowie ucieszony pan Waręż, to wam będę mówił następnie o tem,

jak teraz wygląda Wielkie Księztwo Poznańskie. —

— Wybornie! wybornie! — kochany panie! zewsząd się ozwano.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MOJA NUTA.

Hejże! piosenkę ja wam zanucę,
W naszę chateńkę spokój przywrócę:
Bo piosnka cicha, jak świat wiośniany,
Jak woń z kielicha róży dobranej.
Więc niechaj leci z sioła do sioła,
Spłynie na dzieci, jak głos anioła.
Jak srebrna rosa, co lśni na trawie,
Niechaj w niebiosa leci łaskawie.
A za jej nutą, z mej piersi snutą,
Postawcie życie, jak na rozkwicie.
Wiecie, gdzie wiedzie głos mej piosenki?
Oj, nie ku biedzie waszej chateńki; —
Ale na pole z pługiem prowadzi,
I czarną ziemię orać wam radzi...
Orać co żywo, i kąkol plenić,
By nieszczęśliwą dolę swą zmienić.
Hejże! przez sochę drewnianą, krzywą,
Zmieńmy dni płoche w dolę szczęśliwą;
Uczmy się czytać w ziemi, jak w księdze,
Zacznijmy chwytać roboty przędzę. —
Ziemia literą będzie nam szczerą;
Plony zebrane to przeczytane,
Będą książeczki, jak aniołeczki...

Gdy czarna rola nie zda się komu,
Przez lasy, pola, niech pójdzie z domu...
Wiatrem przeleci i do miasteczka,
Tam mu zaświeci nowa gwiazdeczka...
Oj! tam u ludzi, człek się obudzi;
Ujrzy, jak robią, w co się sposobią;
Więc go ochota, ta ludzka cnota
I do rzemiosła powiedzie żwawo
Przez dobre chęci i pracę krwawą,
Praca, choć krwawa, niedolę łzawą
W szczęście zamieni. A od promieni
Owej gwiazdeczki, co błyszczy z nieba,
Na całe życie nie braknie chleba.
Gdy pójdziem wiernie przez drogi ciasne,
To ostre ciernie zmienią się w jasne,
Piękne kwiateczki, jak aniołeczki.

Trza też po pracy w roli, warsztacie,
Odpocząć nieco w rodzinnej chacie.
Godziny lecą, jak trzasnął biczem,
Cóż tedy robić? Zamiast więc niczem
W nich się nie bawić, — lepiej książczynę
Przed oczy stawić i choć godzinę
Z nią się pocieszyć. Oj, tam nie zgrzeszyć
Przy niej człekowi; ona nam powie:
Jak Boga chwalić, jak biedę zwalić
W czarne otchłanie na spoczywanie.
Najprzód z litery wierszyk się złoży,
Potem dwa, cztery i pójdzie sporzej.
Pójdzie z karteczki krótkiej do długiej,
Później z książeczki jednej do drugiej...
Obrazki liczne w książce się zjawią,
Powiastki śliczne, co życie sławią;
Z nich się też łatwo człek uczyć może, —
Poczciwa dziatwo, — o! szczęść ci Boże!...
Więc, bracia moi, wioski dziecino,
To wam przystoi, wierzcie mi jeno, —
Wierzcie mi tylko, jako brat, bratu,
A z każdą chwilką sobie i światu
I ziemi naszej, i chacie waszej,
Ulgę sprawicie na całe życie...
Bo ja, co snuje, z serca wam snuję; —
By chata droga na chwałę Boga
Na wieki stała, szczęściem jaśniała.

Fr. Ksaw. Martynowski.

PANOWANIE STANISŁAWA AUGUSTA PONIATOWSKIEGO

OSTATNIEGO POLSKIEGO KRÓLA.

(1764 — 1795)

napisał

Józef Dobrowolski.

(Ciąg dalszy).

Pierwsze lata panowania Stan. Augusta aż do konfederacyi barskiej.

Zdawałoby się, że król nie po myśli większéj części narodu wybrany, natrafi zaraz na wielką niechęć, trudności; tymczasem zupełnie inaczej się stało, bo nawet i ci, którzy dawniej z jego wyboru nie byli zadowoleni, teraz powrócili do kraju i uznali go prawym królem. I w tem też oczekiwaniu srodze się Moskwa zawiodła, spodziewając się, że zaraz z początku ku jej wielkiej radości będzie w Polsce z tego powodu niepokój i zamieszanie.

Nowy król był to pan młody, bo zaledwo 32 lat liczący, uprzejmy, uczony, łagodny, przyozdobiony wieloma przymiotami i pełen najlepszych chęci do wydźwignienia Ojczyzny z upadku. Ustanowił albowiem szkołę wojskową, czyli kadetów w Warszawie, z której rychło wielu tęgich ludzi wyszło, co się dobrze Ojczyźnie zasłużyli. Założył także ludwisarnię do lania armat, mennicę, gdzie biją monetę; w mieście za jego przyczynieniem się budowano ozdobne i wspaniałe gmachy, w ogóle panowanie bardzo pięknie się rozpoczęło i zdawało się wszystkim, że król ten powinien był swój kraj uszczęśliwić. Ale cóż z tego wszystkiego, kiedy nie miał najpotrzebniejszej rzeczy, bo brakowało mu pewności, silnej woli, która nie ustępuje przed raz powziętym zamiarem i co sobie postanowi, to koniecznie zrobić musi. W tym czasie, kiedy dwóch sąsiednich nieprzyjaciół, Moskwa i Prusy, czychało na zgubę kraju polskiego, kiedy to i sami Polacy między sobą zgodzić się nie mogli — wtedy innego trzeba było króla, dlatego też powoli po Stanisławie Poniatowskim zaczęto sobie nie wiele obiecywać nadziei. Może zresztą byłby sobie wreszcie i zjednał miłość i poszanowanie

narodu, ale Moskale wszelkimi sposobami nie chcieli do tego dopuścić, a król słaby, nieudolny chętne skłaniał ucho na ich namowy, trudno mu było, chociaż mógł, na zawsze zerwać z nimi i dlatego coraz bardziej tracił zaufanie swoich poddanych. Jakie było położenie nieszczęśliwego naszego kraju, możecie się sami snadnie domyśleć.

Z początku rządzili w imieniu króla jego wujowie, książęta Czartoryscy, którzy jak gorliwi obywatele, na każdym kroku starali się o to, żeby w kraju raz przecie był porządek, spokój i rozumne, sprawiedliwe prawa. Dlatego potwierdził teraz król prawa ustanowione przez dawniejszy sejm, który się odbył w czasie bezkrólewia, przez co lepsza dola dla znękanego kraju zajaśniała. Moskwie naturalnie bardzo się markotno zrobiło z powodu takich zmian na lepsze, ale przeszkodzić temu już nie mogła.

Jednak wielu chcących lekkim sposobem przyjść do majątku i znaczenia, którym sprawiedliwe i dobre rządy Czartoryskich nie w smak szły, nie mówiąc już nic o samej Moskwie, pragnęło poróżnić siostrzeńca z wujami. Przytem poseł moskiewski mieszkający w Warszawie, nazwiskiem Repnin, ciągle przypominał królowi, że się to lub owo carowej niepodoba, że więc trzeba to zmienić i groził mu nawet utratą korony, jeżeli się w czemkolwiek sprzeciwiać jej będzie. Król nie mający własnej woli słuchał obcych podszeptów, pozwalał na złe, przezco naród coraz bardziej uczuwał do niego nienawiść. Szydził też sobie i wyśmiewał się z niego Repnin, że słucha we wszystkiem, jak małe dziecko, swoich opiekunów i bez oporu spełnia ich rozkazy. — Temi drwiącemi słowami król drażniony pragnął pozbyć się opieki wujów a za to coraz więcej zaczął ulegać Repninowi, który podstępnie wszystkich namawiał, by się o łaskę jego dobrej i wspaniałomyślnej monarchini ubiegali. Czartoryscy jednak widząc, że w tym właśnie czasie najbardziej o ratowaniu Ojczyzny pamiętać trzeba, nie myśleli tak łatwo ustąpić lekkomyślnemu siostrzeńcowi, na którego się bezpiecznie spuścić nie mogli.

Były więc dwie strony, dwie partye; na czele jednej stał król a do drugiej należeli Czartoryscy i w ogóle sami prawi i zacni ludzie, co pragnęli wszelkiemi siłami dobra swojej Ojczyzny; właśiwie jednak jedni trzymali się króla, inni Czartoryskich; — część była przeciwną familii królewskiej a druga część znowu zaprzedała się zupełnie Moskwie.

Mimo to stan kraju nie był jeszcze najgorszy, był jaki taki spokój, porządek, wśród którego naród szczerze zaczął myśleć o podźwignieniu się z niedoli. Starania te naturalnie były solą w oku naszym zawziętym nieprzyjaciołom. Chcąc dlatego sprawić większe zamieszanie w kraju i pokłócić jednych z drugimi, zaczęli się ni ztąd ni zowąd ujmować za szyzmatykami i lutrami, żeby ci mieli te same prawa, co i katolicy, to jest, żeby mogli być posłami na sejmy i zasiadać w senacie. Czy myślicie, że uczynili to w dobréj myśli, z ludzkości? Gdzież tam! Jak zły człowiek na każdym kroku czycha tylko na zgubę swego przeciwnika, tak też zawsze postępowała sobie Moskwa z Polską. Przez to za pomocą szyzmatyków chciała mieć prawo mieszania się do spraw kraju, pragnęła przywłaszczyć sobie jaką część ziemi, aby swoją zaokrąglić, nie dbając wcale, jakiemi drogami do tego czynu dochodzi.

Król wiedział o tych żądaniach Moskwy i Prus i był dlatego jakby między młotem a kowadłem. Czartoryscy bowiem znając wolę większej części narodu, dbałego bardzo o religiją katolicką i bojąc się, by przez takich senatorów i posłów obce mocarstwa nie wpływały na publiczne obrady, doradzali królowi, żeby szyzmatyków i lutrów, czyli jak ich jednem słowem nazywano, dyssydentów, do tych praw nie dopuścił. Katarzyna zaś carowa żądała prędkiego załatwienia tej sprawy i groziła królowi swoją niełaską, a nawet zemstą, jeżeli się w czemkolwiek bądź jej woli sprzeciwiać będzie. O spełnieniu zaś swoich zamiarów bynajmniej nie wątpiła, albowiem dobrze wiedziała, że zwaśnione strony tem żądaniem jeszcze bardziej rozjątrzy i że te wśród wzajemnéj nienawiści o ocaleniu Ojczyzny zupełnie zapomną. Tym więc sposobem wielu niezadowolonych zaczęło wichrzyć przeciw królowi, który mógł sobie zjednać łaskę carowej moskiewskiej, jeżeli tylko jej żądaniom stanie się zadosyć i to też stało się przyczyną bardzo wielkiego zamieszania.

Tymczasem zbliżył się czas sejmu zwyczajnego, na którym król za namową Czartoryskich żądał zarzucenia owego zgubnego słowa **nie pozwalam** i aby to tylko zostało uchwalonem, na co się większość posłów zgodzi, co było bardzo słuszną rzeczą. Na tak słuszne i sprawiedliwe żądanie oburzyło się całe zgromadzenie a opór był tak silny i gwałtowny, że znów jeden człowiek mógł się przyczynić do zerwania sejmu! Nastąpił zatem powrót do dawnego opłakanego stanu. Tylko z dyssydentami nie poszło po myśli Katarzyny, albowiem sejm nie przystał na równouprawnienie tychże z katolikami. Z tego powodu rozgniewana poleciła Repninowi, by namówił dyssydentów do związku z sobą i do wezwania jej, jakoteż króla pruskiego opieki a zarazem by strona przeciwna familii królewskiej także się połączyła dla przywrócenia dawnych swobód, a raczej do podkopania własnej Ojczyzny. Namowy te dopięły swego celu, zwłaszcza, że było bardzo wielu złych i niecnych ludzi, podbudzanych ciągle przez Moskali, którzy w zaślepieniu niezmiernem zapomnieli, że są Polakami. Takich związków, czyli jak je wówczas nazywano konfederacyj, powstawało bardzo wiele, w Krakowie, Łęczycy, Wilnie, to przeciw królowi, lub w obronie dyssydentów, inne się znowu przeciw Moskwie zawięzywały a wszystkie prawie udawały się do Moskwy o pomoc, którą im bardzo chętnie udzielała. Ci, którzy do tych konfederacyj przystępywali, popełnili tym sposobem niesłychaną zbrodnię, bo będąc Polakami powinni byli sami bez pomocy obcych, a tem bardziej zaciętych wrogów, między sobą się pogodzić. Że o pokoju i porządku nie można było wtedy myśleć, o tem zbytecznem byłoby wspominać, ale przeciwnie zamieszanie ztąd wynikłe nie miało granic i można śmiało powiedzieć, że w żadnym kraju nie działy się tak straszne rzeczy, jak w polskim pod owe czasy.— Wszystkiemi konfederacyami kierował chytry i podstępny Repnin, któremu szło głównie o to, by zamieszanie w Polsce doprowadzić do najwyższego stopnia i potem swobodnie zagarnąć części kraju pod moskiewskie panowanie. Znał on słabą stronę ludzi, co piastowali wysokie urzędy i dostojeństwa i umiał też sobie stosownie do nich postępować. Tym, co z rządów króla byli niezadowoleni, a tych było wielu, obiecywał, że przez taki związek uzyskają zrzucenie z tronu Stani-

sława Augusta; dyssydentom zaś przyrzekał, że dostąpią zupełnych praw i swobód.

Wszystkie te konfederacye, chociaż każda z nich do innego celu dążyła, za staraniem owego posła połączyły się w jednę wspólną w mieście Radomiu, od czego się też zwie konfederacyą radomską. Marszałkiem jej był książe Karol Radziwiłł, a wyprawiła ona posłów do carowej z podziękowaniem za pomoc i opiekę nad prawami Polski, oraz z prośbą by to samo nadal czyniła; w końcu pochwalono postępowanie Repnina! Do tej konfederacyi na wyraźne żądanie Moskwy przystąpił też i sam król, który w wszystkich krokach bał się narazić swojej podstępnej opiekónce Katarzynie. Tym sposobem król zamiast myśleć o załagodzeniu wewnętrznych sporów i kłótni, sam występuje przeciw lepszej części narodu, staje się nieprzyjacielem własnej Ojczyzny.

Powoli jednakże mimo wszelkich nieprzyjacielskich zabiegów wracało upamiętanie, nawet najwięksi przyjaciele Moskali, zawiedzeni w swoich oczekiwaniach, widząc, że nadzieje ich ani w części spełnionemi nie zostały, a nadto nie ufając już dalszym obietnicom, zaczęli złorzeczyć Moskwie i zupełnie się od niej usuwać. A ponieważ znów sejm nadchodził, przeto w celu wydźwignienia kraju z upadku wybierano na sejmikach przedsejmowych posłów gorliwych o cześć i dobro Ojczyzny a w niektórych nawet miejscach przysięgą się zobowięzywano, że na żądania Moskwy pod żadnym warunkiem nie przystaną.

Takie krzątanie się około dobra własnego kraju nie ukryło się przed czujnym Repninem, który się teraz bardzo odgrażał, a chcąc przerazić zjeżdżających się na sejm posłów, aby ci zupełnie mu byli uległymi, kazał uwięzić Kożuchowskiego, niezmiernie gorliwego konfederata i wywieźć go z Warszawy.

Na sejmie tym tedy w roku 1767 żądała Moskwa dla dyssydentów równych praw z katolikami, zaprowadzenia rządów w Polsce takich, jakie sama nada, nad którymi przyrzekła ciągłą mieć opiekę. Przeciw temu niesłychanemu żądaniu wystąpili zaraz Kajetan Sołtyk, biskup krakowski, Józef Załuski, biskup kijowski, Wacław Rzewuski, wojewoda krakowski, oraz najstarszy jego syn Seweryn. Poseł carowej przewidując, że z nimi połączy się bardzo wielu takich, co Moskwę nienawidzili a bojąc się, że tym sposobem sejm postąpi sobie nie tak, jakby sobie tego życzył, dopuścił się niesłychanego gwałtu, bo oto wszystkich tych czterech członków sejmu kazał w nocy, 13 Października, porwać, wsadzić na kibitki i wywieźć do Kaługi, na Sybir. — Był to czyn straszny, niepamiętny w dziejach świata! Posłowie polscy gdy się o nim dowiedzieli, nie chcieli temu z początku wierzyć a przekonawszy się o smutnej prawdzie, opadli zupełnie na duchu, nie wiedzieli co z sobą począć. Zapytacie się, gdzie król był, co na takie gwałty mówił? Zaiste Moskwa nie mogła znaleźć lepszego narzędzia do spełnienia swych bezecnych zamysłów nad to, które w Stanisławie Auguście Poniatowskim znalazła. Człowiek ten słaby, niedołężny, nie mający własnej woli wachał się, na którą przejść stronę, wreszcie obydwóch się trzymał i obydwie w najniegodziwszy sposób zdradzał. Teraz będąc najpokorniejszym sługą Repnina, wypełniając wszystkie jego rozkazy, nie umiał sobie dać rady i bynajmniej nic sobie z tego nie robił, że owych czterech gorliwych obywateli gwałtem porwano.

W skutek takich czynów kraj cały był przerażony, zbywało już na ludziach z poświęceniem, z zaparciem się samego siebie, gotowych na wszystko w obronie zdeptanej godności i praw narodu. Dlatego gdy już nie było gorliwych, żądaniom Moskwy nikt się już nie sprzeciwiał i w dalszym ciągu sejmu przywrócono dyssydentom dawne prawa, z Moskwą zawarto uroczyście przymierze i dozwolono znowu jednemu człowiekowi przez wypowiedzenie słowa **nie pozwalam** zrywać sejm cały, jak to dawniej z zgubą kraju bardzo się często powtarzało. Ponieważ zaś nad ustanowionemi prawami oddano dobrowolnie Moskwie opiekę, przeto ta mogła sama każdej chwili mieszać się do spraw Polski, co wszystkich dalszych nieszczęść stało się przyczyną.

Sejm ten nie tak liczny jak dawniejsze zakończył się dnia 5 Marca 1768 r., który za swoją niewolniczą uległość i zupełne oddanie sie na wolę najzaciętszych wrogów słusznie u wszystkich zasłużył na hańbę i wieczną wzgardę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Co słychać w świecie?

I cóżby wam tu pisać dzisiaj? Rada Państwa została przerwaną na czas świąt i dopiero pono 7 Maja ma być na nowo zwołaną. Co się dalej stanie z ugodą naszą, trudno to przewidzieć,— ale sądząc wedle tego, co dotąd zrobiono w tym względzie, nie wiele się spodziewać należy. Obradowano bowiem przez parę miesięcy,— a cóżeśmy wielkiego na tem skorzystali? bardzo mało, a w części nawet ponieśliśmy straty, do których zaliczyć można i wybory z konieczności, które zatwierdzone zostały przez Cesarzą. Całe nasze warunki, na mocy których chcieliśmy się pogodzić z Niemcami, poprzerabiano na rozmaite sposoby, tak, aby się nam jak najmniej dostało a i z tem nawet jeszcze nieskończono.

Kiedy Węgrzy się kłócą a kłócą pomiędzy sobą w sejmie; — wtedy znowu Czesi, bronią się jak mogą przeciwko Niemcom. Dziwna to rzecz, ale zawsze godna uznania, z tymi Czechami. Przed 30 jeszcze laty, tak byli z niemczeni, że aż się serce krajało, widząc Czechów zapierających się prawie swej narodowości; a dzisiaj jaka tam już zmiana! Wzieli się wszyscy Czesi do pracy około siebie, do nauki, zaczęli się uczyć swojego języka historyi, pokochali swoją ziemię, — i cóż powiecie? owi Czesi, co się dawniej tak nieuczyli — ani słuchać nie chcą dzisiaj o Niemcach, są oni duszą i ciałem prawdziwymi Czechami. A że to jest naród mądry, — dla tego też nie da sobie, jak to mówią w kaszę naplué.

Kierujący pismem: Fr. Ksaw. Martynowski.
Redaktor odpowiedzialny: *H. Jordan.*

W Drukarni W. Korneckiego i Spółki w Krakowie. Wydawca S. Jordan.